Uważam, że...

665

No i doczekaliśmy się. Po miesiącach niepewności, środowiskowych plotek i spekulacji na temat dalszych losów teatrów — wreszcie wszystko (powiedzmy: prawie wszystko) stało się jasne. Opracowany przez Ministerstwo projekt nowych zasad finansowania teatrów określa precyzyjnie, kto spodziewać się może wsparcia z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury, a kto na pieniądze z państwowej kiesy liczyć raczej nie powinien.

Z przedstawionego w projekcie podziału teatrów na kategorie w zależności od źródeł i wielkości dotacji wynika, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie wcielono oczywiście w życie rzuconego przez Jerzego Koeniga pomysłu rozwiązania jedną administracyjną decyzją wszystkich teatrów (Ministerstwo nie ma zresztą takich sankcji). Wycofała się też ze swych pomysłów — idących dość daleko w rozstrzygnięciach — minister Cywińska, która, jak pamiętamy, na niedawnym zjeździe ZASP-u zapowiedziała, że w gestii funduszu centralnego pozostanie jedynie 20—25 zespołów. W myśl najnowszych ustaleń, na dotacje z centrali — mniejsze czy większe, to już inna sprawa — liczyć może 48 teatrów: 16 zaliczonych do pierwszej grupy i 32 do drugiej. Jedynie 13 zespołów szukać musi funduszy przede wszystkim na własnym terenie i na własną rękę.

Ministerialny projekt nie wzbudzi, podejrzewam, specjalnych kontrowersji. Zaproponowany w nim podział — pomysł, pod którym podpisują się pospołu minister Cywińska i dyrektor Departamentu Teatru Andrzej Ziębiński — zbieżny jest raczej z opiniami środowiska, które na ogół doskonale orientuje się, ile dany teatr jest wart; pokrywa się też z sądami krytyki. O rzetelności analizy świadczyć może fakt, iż kierowany do niedawna przez dyr. Ziębińskiego Teatr Popularny na warszawskiej Pradze zaliczony został — jak najsłuszniej — do kategorii trzeciej.

Rażących pomyłek raczej nie popełniono, choć, gdyby to ode mnie zależało, do pierwszej, a nie do drugiej grupy zaliczyłbym np. Teatr Rampa Andrzeja Strzeleckiego. Przyznanie określonej kategorii wiąże się, jak rozumiem, z oceną dotychczasowego dorobku danej sceny, jej perspektyw rozwojowych, tudzież kompetencji dyrektora artystycznego. Andrzej Strzelecki — laureat Nagrody Prezydenta Warszawy, wyróżniony za opracowanie nowej formuły kulejącej do niedawna sceny na Targówku — zasługuje z pewnością na większe wsparcie niż, powiedzmy, Syrena czy Komedia. To prawda, działa w rozrywce, gatunku uważanym powszechnie za rzecz pośledniejszą niż „rasowy" dramat, poza tym ma najdroższe bilety w Polsce, a mimo to na brak publiczności raczej nie narzeka, ale czy z tego powodu należy w pełni profesjonalny zespół Rampy spychać do drugiej ligi? Wszak była mowa o tym, że promować będziemy przede wszystkim dobrych, a nie „średniaków".

Nie wiem też, czy najsłuszniejszym posunięciem było np. umieszczenie w trzeciej grupie teatru w Gorzowie Wielkopolskim. Scena gorzowska, przyznać trzeba, ostatnio nie błyszczała, ale od tego sezonu ma nowego dyrektora, zaakceptowanego zresztą przez Ministerstwo. Nie zdążył jeszcze prawie niczego dokonać, a już wylądował — by pozostać przy terminologii sportowej — w strefie spadkowej. Czy nie należało trochę poczekać, dać szansę wykazania się? Zwłaszcza że generalnie rzecz ujmując, pani minister i jej dyrektor okazali się ludźmi o gołębich sercach i gdzie tylko mogli, otwierali parasol ochronny. A więc „ściana wschodnia", bo zaniedbana kulturalnie, a więc ziemie zachodnie, bo trzeba pokazać coraz bardziej hałaśliwym sąsiadom zza miedzy, że nie graniczą z jałową pustynią.

W efekcie, lista teatrów, którym powiedziano: radźcie sobie sami — okazała się mniejsza niż można się było spodziewać. W skład owej „pechowej trzynastki" weszły głównie zespoły z centralnej Polski, w tym tworzące przysłowiowy już „trójkąt bermudzki": Gniezno, Gorzów i Grudziądz. Sytuacja tych teatrów, działających przeważnie w niewielkich ośrodkach, raczej nie wygląda różowo. Przypominam sobie, jak na zorganizowanym pod koniec ubiegłego roku z inicjatywy dyr. Tadeusza Pliszkiewicza spotkaniu założycielskim federacji teatrów terenowych wysuwane pod adresem lokalnych władz postulaty otoczenia opieką scen prowincjonalnych — skwitował krótko wiceprezydent Grudziądza: wali nam się szpital, leży gospodarka komunalna, pieniędzy na teatr nie ma i nie będzie. Po takim dictum, rzucony w chwilę później pomysł, by z prośbą o finansowe wsparcie zwrócić się do „Solidarności", przyjęto wymownym milczeniem.

Wspomnienia z owej narady każą mi spojrzeć na przedstawiony przez Ministerstwo projekt bez euforii. Nie da się zaprzeczyć, że jest to równanie z dwiema co najmniej niewiadomymi. Pierwsza z nich to oczywiście pieniądze. Niezgodny z rządowymi prognozami rozwój sytuacji sprawić może, iż zagwarantowane w budżecie środki — nawet w wypadku teatrów zaliczonych do pierwszej grupy — okazać się mogą niewystarczające. I druga niewiadoma, która wiąże się z tym, kto owymi środkami ma dysponować. W przypadku aż 45 teatrów (32 z drugiej i 13 z trzeciej grupy) ich egzystencja zależeć będzie — w mniejszym lub większym stopniu — od samorządów lokalnych. Jak wiemy z prasy czy telewizji, w organach przedstawicielskich zasiądą już wkrótce zupełnie nowi ludzie. Nie gwarantuje to bynajmniej, że reprezentantów poprzedniej ekipy zastąpią miłośnicy teatru.

Mamy więc trzy kategorie. Lepszych i gorszych, mniej lub bardziej uprzywilejowanych. Jednakże kłopoty finansowe dotknąć mogą wszystkich. Warto o tym pamiętać, żeby potem nie było niepotrzebnych rozczarowań.

ANDRZEJ MULTANOWSKI